



Roboty teraz mamy huk. Gotowanie i rozdawanie posiłków, potem świeże transporty rannych, którymi trzeba się zająć. Najbardziej przykre są pierwsze zmiany prowizorycznych opatrunków. Odrywanie bandaży zlepionych skrzepłą krwią. Obmywanie brudnych, ropiejących ran. Z bliska wygląda to strasznie. Kule, szrapnele, odłamki nie przebierając, przebijają na wylot klatki piersiowe, jamy brzuszne, wyszarpują kawały mięsa, odrywają kończyny. Na sam widok kręci się w głowie. Z trudem staram się przemóc wstręt i mdłości, o które przyprawia mnie zapach krwi i ropy.

Żeby ukryć, jakie to robi na mnie wrażenie, korzystam z każdej okazji, aby przynieść wody czy bandaży. Odetchnąć czystym powietrzem i oprzytomnieć. Umytych i opatrzonych rannych kładzie się na świeżo postłanych łózkach.

Maria Ginter, *Galopem pod wiatr*, Warszawa 1990.